

O TYM ŚWIECIE GADAJ!

Piotr Grobliński: Na pożegnaniu z tytułem chyba się pan wzruszył? Tak to przynajmniej wyglądało.

Bronisław Wrocławski: Nie ma co ukrywać. Wie pan, to prawie osiemset przedstawień, granych w różnych miejscach, w całej Polsce i nie tylko. Od Ameryki, bo i tam wylądowaliśmy swego czasu, przez czeski Cheb, do Egeru na Węgrzech, od góry do dołu. W naszym teatrze graliśmy to na różnych scenach. W sumie 789 razy.

789? Na torcie, który pan dostał, było mniej...

Tak, bo nie policzyli przedstawień ze Stanów Zjednoczonych. W Chicago graliśmy w teatrze, obok którego spali polscy żebracy. Jak było zimno, to oni na noc chowali się do śmietnika. Polska publiczność na spektaklu płakała, bo wszyscy znali te obrazki. W każdym razie, gdyby przeprowadzić prostą statystykę – trzy godziny tak mniej więcej spędzane przy każdym przedstawieniu (choć teraz coraz wcześniej przychodzi do teatru) razy 800 przedstawień, to daje 2400 godzin, dzięki Bogu.

Sto dni.

Sto dni, na okrągło przebywałem, można powiedzieć, z Bogosianem, z tymi monologami. To chyba trochę wejdzie w krew, wejdzie w głowę, wejdzie w duszę, w serce, w mięśnie. Człowiek się przyzwyczaja, więc jest pewien żal. Ale jest też trochę ulgi, odchodzi pewien obowiązek. Bo to trzeba ciągle podtrzymywać, pamiętać, może nawet nie sam tekst, ale całą tę figurę mierzenia się z kilkoma postaciami, tę figurę zalecaną przez reżysera Jacka Orłowskiego. Co jakiś czas dzwoniłem do niego przed spektaklem z pytaniem: Jacek, o czym ja mam mówić? *Patrz, co się stało w telewizji, o tym świecie gadaj*. Pytałem też czasem mojej pani inspicjentki, co ja mam dzisiaj powiedzieć, a ona żartowała: *na wszelki wypadek zacznij od dobrego wieczór, potem się jakoś ułoży*.

Licząc dwa kolejne monodramy, ustanowił pan chyba jakiś rekord...

Tysiąc trzysta przedstawień jednego autora to jest dość dużo. Nie śmiem się mierzyć na rekordy z moimi świetnymi kolegami – Jan Peszek gra już chyba od 38 lat „Scenariusz dla jednego aktora”, musiał to zagrać parę tysięcy razy. Ale i pan Stuhr gra ciągle „Kontrabasistę”, też pewnie kilkaset, może i więcej razy. Tak że tu nie chodzi o liczbę, tu chodzi o to, że tekst wydawał się ciągle potrzebny. Mój monodram zdaje się dzisiaj niektórym już tylko kabaretem, ale nawet jeśli, to kabaretem drapieżnym, z pewnym, odważę się to powiedzieć, społecznym przesłaniem.

Co ten tekst chce nam powiedzieć?

Pokazuje świat takim, jakim jest, może go trochę wykrzywia w zwierciadle teatru. Oto patrzcie, wśród jakich ludzi żyjemy. Ty jesteś jednym z nich – to są obrazy z wystawy. Idziemy ulicą, obok nas przechodzą jacyś ludzie, zawsze się zastanawiam – co oni myślą?

Myślą o seksie, prochach i rock and rollu?

Hasło *Seks prochy i rock and roll* jest zawołaniem hipisów, prawda? Sprzed wielu, wielu lat. W programie, który 18 lat temu dostałem, przytoczono wypowiedzi Erica Bogosiana. O ile dobrze pamiętam, on tam mówi, że to jest o jego znajomych. Patrzcie, co się stało z nami hipisami, ludźmi, którzy marzyli o wolności, otwartości. Założyliśmy kołnierzyki, staliśmy się takimi bezdusznymi bogaczami albo żebrakami. Myśmy tego ruchu tak w Polsce nie przeżywali, ale Bogosian, który jest mniej więcej w moim wieku, mógł się tam na to napatrzeć. Ten świat nas wykręca, ta rzeczywistość

- czy ona będzie się rozgrywać w Ameryce, czy w Polsce.

Skąd się wziął pomysł na to przedstawienie?

Rok przed rozpoczęciem prób z Jackiem Orłowskim skontaktował się ze mną telefonicznie pan Sławomir Chwastowski, autor tłumaczenia. Powiedział, że w dzieciństwie chodził na moje bajki do Powszechnego, że teraz jest tłumaczem i ma dla mnie tekst. Poprosiłem, żeby przesłał. Kiedy to przeczytałem, instynkt mi podpowiedział: tu jest coś kapitalnego, może i nowatorskiego. Ale jakies ostre to się wydawało 18-19 lat temu...

Chodziło o przekleństwa?

Tych przekleństw nie było wcale tam tak dużo, tyle, co kot napłakał. Naprawdę. Chodziło o ostrość wypowiedzi, te postacie, wyraziste, ale jakies okrutne, wie pan, każda z jakąś swoją myślą, z jakimś swoim fetyszem wręcz, o czymś marząca, coś wyrażająca. Ten apokaliptyczny obraz świata. Nie od razu odważyłem się pokazać to w teatrze, nauczyłem się paru kawałków i gdy w towarzystwie się spotykaliśmy, to mówiłem fragment. Pytałem: Co by było, gdybyście to na scenie usłyszeli, chcielibyście? A ludzie różnie odpowiadali, ale po roku zacząłem próby z panem Chwastowskim. Ale jakoś nie szło, nie będę tał, on zresztą to wie, więc to żaden wstyd i kłopot. Była taka poważna rozmowa, że nam razem nie wychodzi, ale że mam reżysera, godnego, z którym już byłem po dwóch robotach, po „Tutamie” w Teatrze Powszechnym i po „Przyszedł mężczyzna do kobiety”. Kiedy dałem to Orłowskiemu, powiedział - jeszcze byliśmy na pan - panie Bronisławie, to jest to! Tylko nie wiedział, jak to ugryźć. No bo takiej sztuki tutaj jeszcze nie było!

A dyrekcja się zgodziła?

Dyrekcja trochę płakała, że za ostro, że to, że tamto. Ale się zgodziła. Grzesiek Małecki miał robić dekorację. To, co myśmy przeszli w czasie dwóch i pół miesiąca prób: od girland, łuków triumfalnych, człowieka orkiestry, który z walizkami wchodzi, przebiera się. I tak powolutku myśmy wszystko wyrzucali, wyrzucali i oczyściliśmy scenografię tylko do podestu i wieszaka. Na Małej Scenie zaczęliśmy grać, 24 maja 1997 roku była premiera. Dyrekcja nie wiedziała nawet, jak mi zapłacić - no bo niby monodram, ale osiem postaci. W maju zagraliśmy kilka przedstawień i jeszcze w czerwcu dograliśmy. Przed końcem sezonu 10 przedstawień zdążyłem zagrać. Wyglądało to na pewien sukces! W pierwszym roku grania dałem chyba sto przedstawień. I tak się zaczęło.

To dlaczego koniec? Chętni do oglądania przecież są.

Chętni są, owszem. Ostatnio zaproszono mnie do radia i dzwoniło wielu widzów. Jeden był pięć razy, drugi dziesięć. Mam takich widzów stałych, proszę pana, którzy zawsze przychodzą na pierwsze przedstawienie w sezonie i na ostatnie. Pan rozumie, oni musieli to obejrzeć 36 razy. Jakaś pani mnie w banku pyta: *wie pan, może bym jakiś bilet dostała, bo ja chciałam pójść, jak miałam 13 lat, ale mama mi nie pozwalała wtedy na „Seks, prochy i rock and roll”.*

No więc dlaczego koniec?

Dyrekcja dość odważnie zdecydowała o zdjęciu dwóch pozostałych tekstów Bogosiana: „Czołem wbijając gwoździe w podłogę” oraz „Obudź się i poczuj smak kawy”. Wydało mi się, że to będzie jakies nieuczciwe wobec publiczności, żeby grać tylko „Seks, prochy i rock and roll”, bo to - jak mi tłumaczono - lepiej idzie. Robiliśmy dwa następne przedstawienia, żeby one się w pewnym sensie dopełniały. Według naszej idei to były trzy podróże: jedna, nawet wprost tak to nazywam, była podróżą po zakamarkach miasta, druga po zakamarkach duszy, a trzecią nazywam podróżą w poszukiwaniu człowieka. Więc wydawało mi się trochę nie fair, że to utrzymać ma się tylko jako produkt. Mam czystsze sumienie, że się teatrowi zwróciło. Nie musiał chyba dopłacić do żadnego z przedstawień.

Pan nie miał dosyć?

W teatralnej formule byłem już tym zmęczony. Ale grać będziemy. Dyrekcja się na to zgodziła, odpuści nam te przedstawienia, może odda parę łachów, a jeśli nie, to zrobimy swoje. I zagramy, może już w październiku. Próbkę zrobimy w ramach fundacji, którą założyliśmy razem z panem Orłowskim i dwójką młodych aktorów, panem Marcinem Łuczakiem i panem Wacławem Miklaszewskim, asystentami z Wydziału Aktorskiego. W fundacji, która przez rok była w ukryciu i w ciszy, teraz zacznie swoją działalność od premiery, może trochę w zmienionej formie, w innym miejscu, może trochę odświeżymy te przedstawienia.

Tekst się nie zestarzał?

18 lat temu to było nowatorskim wydarzeniem, no, w miarę nowatorskim. Może nie odkrywczym, ale jednak nowym, bo takich przedstawień nie było. Monodram to jedna osoba na scenie, coś tam gada do szafy, ściany, a tutaj było jednak w pewnym kontakcie z widzami. Nowatorskie przez to, że był to jednak w pierwszej części szalenie wyrazisty dialog wręcz z widownią, z wybraną postacią. Dialog. Nowatorskie przez to, że było stawianiem widza może w trochę niewygodnej sytuacji. Trochę w porównaniu z tym, co się dzisiaj stosuje. Sam wielokrotnie widziałem wierzących się pod moim okiem w tej rozmowie widzów, którzy czuli się niewygodnie. Jeśli wtedy, 18 lat temu, można było odnieść wrażenie, że nasze przedstawienie odrobinę jeszcze wyprzedza rzeczywistość, to dziś rzeczywistość już je dogoniła, ba, może i przegoniła.

Rzeczywistość społeczna?

Tak, to, co się u nas dzieje, może już wyprzedziło „Sex, prochy i rock and roll”. Ale mamy zapas innych monologów, bo myśmy użyli tylko osiem, a tam z różnych innych programów Bogosiana można by jeszcze parę wykorzystać.

Podobno pan Orłowski kandydował na dyrektora artystycznego Teatru Jaracza i przegrał - to nie był powód zdjęcia pańskich monodramów?

O tych wyborach nie chcę za dużo mówić, odbyły się takie półprywatne wybory aktorów, nie wiem, co z tego wyjdzie. Tak się stało, że wybrano kogoś innego. Młodzi ludzie marzą pewnie o innym teatrze, tym modnym teraz teatrze, który dla mnie jest trochę obcy. Może nie wierzą już w stary teatr (nawet ten nasz spektakl był dość klasyczny, żadnej figury tam nie było), teraz mówi się o dekompozycji, reinterpretacji, o edukacji widowni.

O projekcjach?

O tym już w ogóle nie mówię, że zamiast aktora jest z tyłu projekcja jego zasmarkanego nosa. To jest bardzo ciekawe, sam będę próbował dotykać tego, choć z oporami. Dzisiaj mamy w tyłu dziedzinach tyle różnorodności, że się trudno w tym połapać. Dlatego uważam, że dziś tym bardziej teatr powinien być przede wszystkim bardziej zrozumiały dla widza.

Czy patrzy pan inaczej na ten tekst po 18 latach? Czy coś innego jest w nim ważne?

Za pozwoleniem autora wiele sam w nim zmieniłem. Parę lat temu przyjechał tutaj Eric Bogosian, oglądał parę przedstawień, nawet mu się podobało. I on nawet nas zachęcał do zmian. Dlatego wciąż pojawiają się nowe rzeczy...

Ośmiorniczki...

Ależ ośmiorniczki były od samego początku i nagle rzeczywistość dogoniła tekst. Tak, ośmiorniczki były zawsze. Ale fragment o wojnie zmieniam, mówię a to o Syrii, a to o miejscu, gdzie jest aktualnie wojna. Zmieniam za pozwoleniem reżysera: podsłucham jakąś żebraczą gadkę, jakieś hasło z telewizji wsadzę, reklama jakaś najbardziej idiotyczna się przytrafi, to ją wtykam.

Familiada?

Familiada też zawsze była. Ale dzisiaj doszedł nowy program „Warsaw Shore”. No przecież to jest

cudowny program, który powinni wszyscy oglądać. Po 16 takich programach mamy naród kretynów i idiotów, bęcwałów, głupków, i co pan jeszcze chce. Ludzie powinni wyjść na ulicę i powiedzieć: „Warsaw Shore” zamykamy i tylko pod kontrolą będzie. Oczywiście, język też trochę zmieniam, bo, jak powiedziałem, tam nie było przekleństw na początku. Ale jednak wyszło na to, że dziś inny język się słyszy.

A czy zmienił pan swoje myślenie o tym tekście? Na przykład, że kiedyś coś było ironiczne, a teraz bardziej z jakimś namysłem czy z czułością jest przez pana wypowiedane?

O, tu ma pan rację. Tak się stało z niektórymi tekstami. Zbierający Butelki, ten, co trzyma się zawsze słonecznej strony ulicy, miał swoją ewolucję. Mój bohater też znalazł się w takiej sytuacji, on musi utrzymać w sobie choćby tę radość, znaleźć we wszystkim dobrą stronę. Tak, dno, upadam, ale będę się trzymał. To było o chorym psychicznie człowieku, który gdzieś z kimś musi porozmawiać. Ten akurat rozmawia, według mnie, z Bogiem, ale do Boga doszliśmy dopiero dziewięć lat temu, bo wcześniej mówiłem do wybranego, jednego człowieka, jakbym z każdym chciał rozmawiać. A po dziewięciu latach mówię: przecież on rozmawia z Bogiem, to jest monolog do jego wyobrazonego Boga, którego widzi w słońcu, kiedy wstaje dzień.

Ale to pan do tego doszedł, nie reżyser?

Tak, ja. A wie pan, skąd się wziął pierwowzór tej postaci? Na rogu Wólczańskiej i Zielonej widywałem parę starszych ludzi, a potem on został sam, kobieta zniknęła. Płaszcz mu się zaczął strzępić, ale on jeszcze trzymał pewien sznyt, myślałem sobie zawsze, że to jest jakiś nauczyciel, profesor. I nagle widziałem jego upadek, ale wrażliwość i rozsądek zostały.

Pańscy bohaterowie się zmieniali, bo zmieniał się pan? Czy może świat wokół pana?

Świat też się zmienił, widzę to przy pierwszym monologu o żebraku. Na samym początku, jak wychodził ten żebrak, 18 lat temu, kiedy byliśmy na początku transformacji, to pan wie, ile ja zbierałem pieniędzy...

Do tego kubeczka?

Do kubeczka. Proszę pana, co trzy tygodnie bankiet robiliśmy w teatrze, poważnie mówię. Nie za duży, ale bankiet. I proszę sobie wyobrazić, mija 18 lat i nie dają. Co się w nas zmieniło? Ludzie mieli 18 lat temu odruch pomocy biednym. Dziś mijamy Cyganek z dzieckiem, żebraka, mijamy i nas to w ogóle nie obchodzi.

Pewnie oszukują...

Mówimy, że oszukują, ale wtedy nie sprawdzaliśmy, czy to prawda. Dzisiaj na pewno oszukują. Tak pięknie się odbija w lustrze przedstawienia ten świat.

A dowiedział się pan z tego tekstu czegoś o sobie, o życiu?

Tak, te teksty zawierają pewne kapitalne myśli, nawet niektóre nazywam złotymi. Z niektórymi ciągle nie mogę sobie dać rady, bo wie pan, ja mam w ogóle obyczaj przychodzenia na każde przedstawienie z egzemplarzem tekstu. Młodzi koledzy się ze mnie śmieją, bo oni umieją na pamięć. Ja też umiem na pamięć, tylko tu nie o to chodzi, przeglądam tekst przy każdym przedstawieniu, bo ciągle mam kilka zdań, których nie rozumiem. Nie wiem, gdzie popełniam błąd, ale słyszę, że to nie wychodzi. I wie pan, zawsze kilka takich zdań znajdę, z którymi nie daję sobie rady. Niektóre z tych postaci jakoś tam się do mnie odnosi: mam chałupkę na wsi, nie mam co prawda czterometrowego muru posypanego szkłem.

A grilla?

Ja akurat jestem przeciw. Nie lubię, cuchnie jak cholera, dymi. Nigdy nie miałem do tego cierpliwości.

A używa pan sformułowań ze sztuki w życiu codziennym?

Nie, aż tak to nie. Szczerze mówiąc, to cały ten zawód odbija się na mnie dopiero po kilkunastu latach. Jakaś sztuka schodzi z afisza, mija kilkanaście lat, a ja - okazuje się - byłem do niej wyjątkowo przywiązany. Tak było z „Mein Kampf” - rzecz o epizodzie z życia młodego Hitlera, który przyjeżdża do Wiednia zdawać do akademii sztuk pięknych i mieszka w przytułku dla Żydów. I ci Żydzi edukują tego młodego Hitlera. Tam była kupa złotych myśli, np. *Hitler, nie nadużywaj mojego człowieczeństwa, ja cię proszę!* Fantastyczne.

A lubi pan rock and rolla?

Kiedyś lubiłem bardzo! Słuchałem, a czy tańczyłem? No, czasem mi się zdarzało.

Słuchałem, czyli już nie słucham?

Słucham czasem, ale wie pan, bez przesady, żebym się tak upajał rock'n'rollem. Znam pochodzenie tytułu, rozważaliśmy z reżyserem zmianę, ale w końcu zachowaliśmy oryginalny. Bo wydawał się jednak najskuteczniejszy, najbardziej atrakcyjny.

A dalsza część tytułu?

Prochów nie nadużywałem jakoś nigdy, szczerze mówiąc. O tym nie można mówić do gazet, bo przekręca.

Będziemy autoryzować.

Kiedyś zaproszono mnie na jakieś poważne spotkanie z młodzieżą poświęcone właśnie narkotykom... Ja jestem przeciwnikiem, nigdy tego nie używałem, ale w celu sprowokowania pewnej sytuacji, powiedziałem: no co to za problem, ja sam parę razy zapaliłem, a i na użytek tego zebrania poprosiłem młodych znajomych, żeby mi dostarczyli, żebym posmakował tych dopalaczy. Co było, oczywiście, nieprawdą. Chciałem obnażyć sztuczne dmuchanie sprawy, chciałem im powiedzieć: wydajecie państwo grube pieniądze, a nie zajmujecie się tym, co jest istotne. Ludziom trzeba dać robotę, to im się trochę polepszy i pewnie ich dzieci nie będą musiały używać dopalaczy. Następnego dnia ukazał się artykuł, że Bronisław Wrocławski „brał dopalacze”.

Teraz są egzaminy. Gdyby student powiedział jeden z tych monologów?

To się zdarzało! Ja już słuchałem tych monologów, nawet na egzaminach. Czerwony się robiłem, pociełem się za niego. Myślę sobie: Boże, też wziął sobie na głowę zadanie. Nawet były kiedyś takie próby, prowadziłem przecież nieraz kurs prozy w szkole, i młodzież mnie prosiła, że może byśmy ten monolog zrobili. Rzadko im się udawało utrzymać tempo podobne do mojego.

Tak szybko pan mówi?

Na początku grałem godzinę i dwadzieścia pięć minut, teraz godzinę czterdzieści pięć. Oczywiście, kilka zdań jest dodanych, coś się zmieniło w tekście, ale nie ma co ukrywać, oddech już nie ten po 18 latach.

A czy do każdej z tych postaci pan dobierał sobie jakąś fizyczność, że ten to na przykład ma chorą nogę, a ten to chodzi w charakterystyczny sposób?

Wie pan, w jednej pracy magisterskiej, bo trzy prace magisterskie poświęcone mojemu przedstawieniu czytałem...

Doktorat z seksu, prochów i rock and rolla też był?

A żeby pan wiedział, oceniany przez panią profesor Korzeniowską. Więc w tej pracy magisterskiej pisano o typowym dla Stanisławskiego elemencie tak zwanych działań fizycznych. Jest czysty, klarowny obraz działań fizycznych. Tylko ja sam nie wiem, proszę pana, czym są czyste działania fizyczne, no a te figury to pewnie od Michaiła Czechowa, taki gest psychologiczny równie dobrze

może pochodzić z gestu fizycznego. To się wszystko kształtowało w ciągu tych 18 lat. Na pewno każda figura tworzy swój świat, a więc musi być bardzo charakterystyczna dla tego swojego świata. Musi mieć odpowiednie gesty.

A z tych ośmiu postaci, którą pan lubi? To pytanie padło już pewnie wiele razy.

No, może nie tak wiele, ale ja nie umiem na nie odpowiedzieć. To dzieci naszej wspólnej wyobraźni: autora, reżysera i mojej, obdarzam je wszystkie jednakową miłością.

Czyli nie ma wśród nich dobrych i złych?

W każdym przecież znajdujemy usprawiedliwienie, na tym to polega, że każda z postaci ma usprawiedliwienie swoich poczynań. Autor tego nie ocenia, autor daje pożywkę, a wy sobie sami odpowiedzcie. Dla mnie te wszystkie postaci to są obrazki z wystawy ludzkich figur. Nie pokażemy całej galerii, prawda, ale typowe obrazy: z dna, z góry, ze środka.

No właśnie tego środka to za bardzo nie ma.

Blokera może być ze środka, ten siedzący w więzieniu, który odnosi się do Boga. Świętej pamięci wielki aktor łódzki Bogusław Sochnacki po jakimś roku poszedł na to przedstawienie i mówi: *wiesz, ja nie lubię tych monodramów, bo to przecież jakieś takie głupie. Ale to dobre było. Dobre było. Tylko tego monologu prawie że konradowskiego – tak to powiedział – to nie mów, bo to nieładnie tak jest, wiesz, żeby w więzieniu siedział bandyta jakiś i tak do Boga przemawiał.*

Każde miejsce jest dobre do rozmowy z Bogiem.

A wie pan, że kiedyś graliśmy w ewangelickim kościele świętego Mateusza. Przyszli pastorowie i zaprosili mnie na zjazd młodzieży ewangelickiej. To będzie dla nas wspaniały przyczynek do rozmów: być czy mieć. Oni to znaleźli w tym. Byłem przerażony, prawie 900 dzieciaków było, młodzieży. Bez mikrofonu próbowałem to robić. Zaczynam mówić i czuję, że młodzież tego nie słyszy! No to ja naciskam więcej, i czuję, że oni nie słyszą. Dopiero, jak użyłem wszystkich moich sztuczek technicznych, poczułem, że słyszą, obejmują jakoś te 900 osób bez mikrofonu. I wtedy pomyślałem sobie: mój Boże, jestem przy czwartym zdaniu, a tu przede mną jeszcze 36 stron tekstu! To nie dziwota, że na końcu omdlałem za ołtarzem.

A te postaci pan jakoś na swój użytek nazywa?

One mają swoje imiona w sztuce. Zbierający Butelki, Burak czy – jakby to powiedzieć po naszemu – Byczy Kark, takie amerykańskie określenie kogoś nieczułego na nic. X-blue to ten, co siedzi w więzieniu. Ja go nazywam: Ten, Który Się Wadzi z Bogiem. Z kolei Zagubiony Blocker to jeden z chłopaków żyjących na tych naszych osiedlach, którzy nie mają komu ufać. No to on ufa koledze, znajduje sobie wyrocznię. To straszne, ale tak jest – opuszczeni młodzi ludzie.

Na koniec chciałbym zapytać o współpracę z reżyserem. Jak to się rozwija przez te wszystkie lata – przy drugim, trzecim spektaklu?

To była przygoda, momentami nawet bolesna. Przy drugim spektaklu mieliśmy taką zapaść, żeśmy się pogubili trochę. Ja szczególnie. Myślałem sobie, że tak gładko to pójdzie, ale wcale gładko nie poszło, bo też Jacek Orłowski jest bardzo pilnym i porządnym reżyserem. I on mówi: *Bronek, ja to już widziałem, na to mnie nie nabierzesz.* Bo mnie się wydawało, że to będzie łatwiejsze.

W drugim był kryzys, a w trzecim?

Trzeci monodram jest dla mnie najciekawszym i ciągle jeszcze pełnym tajemnic przedstawieniem. No dobrze, naśmialiśmy się, naśmialiśmy, ale tak naprawdę chodzi mi o to, że jeszcze raz spróbujmy porozmawiać. O życiu – moim i waszym. Takie hasło mi przyświeca. Obudźcie się i poczujcie smak kawy – tak chciałoby się zawołać do ludzi.

To pan ten spektakl wymyślił czy reżyser? Był pan już wtedy gwiazdą tego gatunku...

Zawsze rządzi reżyser, to on powinien wyznaczać pewne kierunki, a ja mogę starać się najlepiej jak umiem wypełnić je sobą. Gwiazdą nie byłem. To autora znaleźliśmy, autor był rozpoznawalny, jego teksty. Ale pozwolił nam na użytek naszej rzeczywistości trochę te swoje programy pomieszać. Niektóre monologi wzięliśmy z innego tytułu - „Gabinet luster” to się nazywało. Oczywiście za zgodą Bogosiana.

Chyba już musimy kończyć.

Tak, przepraszam, ale mam jeszcze egzamin...

Wywiad - w skróconej wersji - ukaze się we wrześniowym numerze "Kalejdoskopu". Spektakl "Sex, prochy i rock & roll" będzie w październiku grany w AOiA.